

# Pismo

MAGAZYN OPINII

MARZEC 2023 | NR 3 (63)

REPORTAŻ

Mroczne oblicze  
Pornhuba

ESEJ

Internet  
łapie w sieć

Pokaż, ile  
zarabiasz

LITERATURA

Paweł Sołtys  
Natalia Błok

ROZMOWY Z K.

Lewestam  
o prawie do bycia  
szczęśliwą

CENA: 18,99 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 2544-5022 INDEKS 422258

03 >

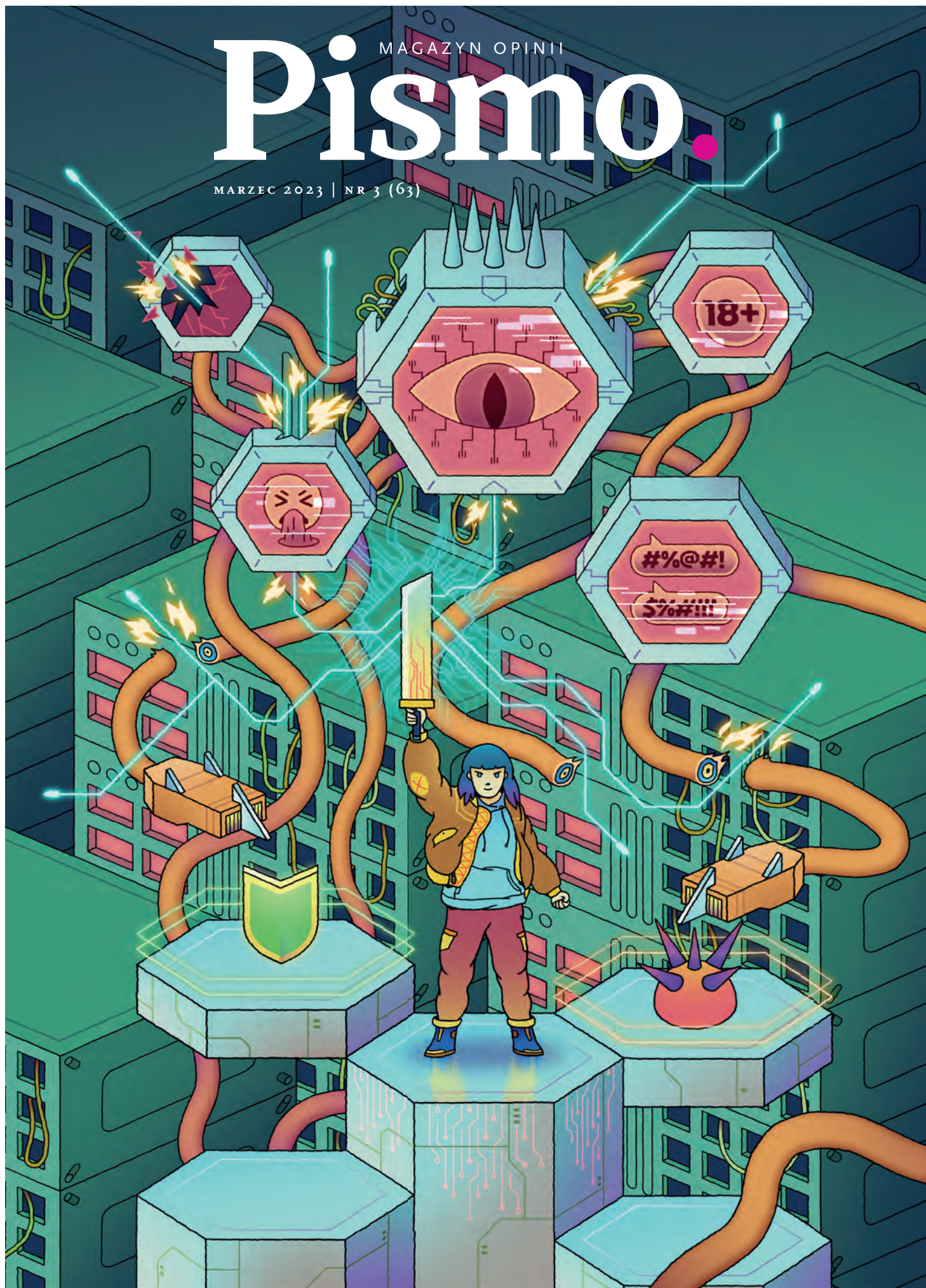


9 772544 502302

# Pismo

MAGAZYN OPINII

MARZEC 2023 | NR 3 (63)



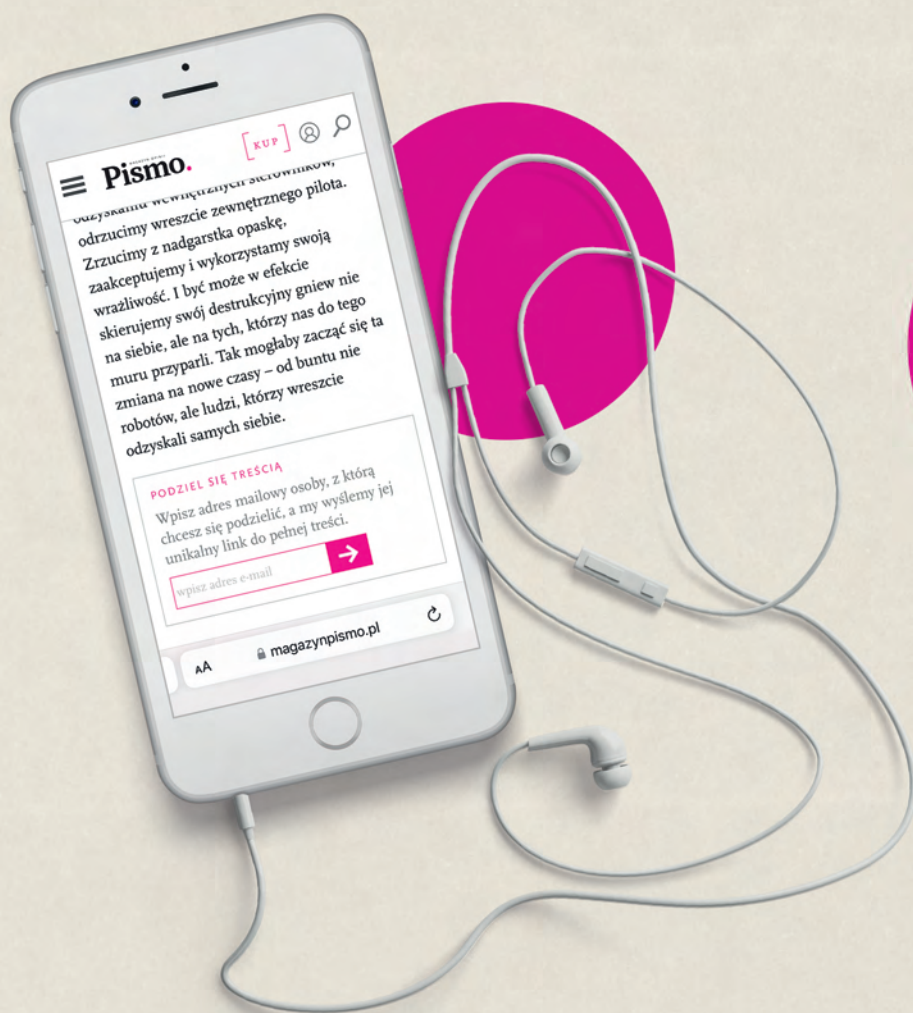
Masz prenumeratę lub sam dostęp online do „Pisma”?

MAGAZYN OPINII  
**Pismo.**

## Czytaj, słuchaj i **dziel się** treściami z „Pisma”.

Zachwyił Cię esej, wzruszyło opowiadanie, zainspirował reportaż?

Dzięki nowej funkcji w serwisie [magazynpismo.pl](http://magazynpismo.pl) możesz w całości udostępniać nasze treści osobom, które nie mają prenumeraty lub dostępu online do „Pisma”.



To dla nas, Fundacji Pismo, bardzo ważne, by treści, które publikujemy, docierały do jak największej liczby osób – by skłaniały do refleksji, były pretekstem i inspiracją do rozmowy.



[magazynpismo.pl/podzielsie](http://magazynpismo.pl/podzielsie)

„Pismo” to wyjątkowy projekt medialny realizowany *pro publico bono* przez Fundację Pismo. Naszą misją jest kształtowanie obecnych oraz przyszłych liderów i liderki życia społecznego, politycznego i kulturalnego przez uwrażliwianie na rzeczywistość i inspirowanie do myślenia o procesach kształtujących przyszłość. Utrzymujemy się dzięki darowiznom oraz prenumeratom. Prenumerując lub subskrybując, wspierasz uczciwe, wiarygodne, niepartijne, wysokiej jakości dziennikarstwo działające dla dobra publicznego.

# MAGAZYN OPINII Pismo.

MARZEC 2023

## PROZA

**Błądyniec** | 6  
PAWEŁ SOŁTYS

## DRAMAT

**Przez skórę** | 90  
NATALIA BŁOK

## POEZJA

**[...]** | 3  
MATEUSZ SZYMCZYK

**/ściszamy/** | 65  
SZYMON BIRA

## OBRAZ

**W KADRZE** | 4  
WOLFRAM HAHN

FOTOREPORTAŻ **Osiedle Przyjaźń** | 46  
MAŁGORZATA ADAMCZYK

KOMIKS **Zwierz** | 74  
ELINA PYROHOVA

W RAMACH PISMA **Otwory** | 88  
SETH PRICE

ŻARTY RYSUNKOWE  
KATARZYNA BELCZYK

OKŁADKA **Kill'em All**  
PIOTR PERŁOWSKI

## FELIETON

2 | ROZMOWY Z K. **Szczęście i Pangloss**  
KAROLINA LEWESTAM odpowiada na pytanie czytelniczki

96 | **À propos cyberbezpieczeństwa**  
ZUZANNA KOWALCZYK

## APTECZKA

73 | **Co w niej trzyma...**  
DAMIAN KOCUR

## REPORTAŻ

12 | **Jak rozliczyć Pornhub?**  
SHEELAH KOLHATKAR o kulisach działania popularnego portalu

## STUDIUM

34 | **Przemoc w sieci**  
KATIA MIERZEJEWSKA bada, jak internet stał się przestrzenią wrogą kobietom

## ESEJ

24 | **Dla kogo działa internet?**  
WOJCIECH KUTYŁA sprawdza, czy sieć jest inkluzywna

56 | **Płacowe porno**  
KAMIL FEJFER pyta, czy ujawnienie wysokości płac ma sens

66 | **Obroty pyłu**  
KLAUDIA PIESZCZOCH bierze pod lupę kurz

## WOKÓŁ KSIĄŻEK

80 | **Ja, podmiotka**  
MAGDALENA NOWICKA-FRANCAK czyta literaturę o kobiecym doświadczeniu

MAGAZYN OPINII  
**Pismo.**

Pismo. Magazyn opinii  
www.magazynpismo.pl

Wydawca: Fundacja Pismo  
ul. Wojciecha Górskiego 1/66,  
00-033 Warszawa  
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezes Zarządu: Piotr Nesterowicz  
Członkinie Zarządu:  
Magdalena Kicińska, Kalina Wysztyńska

Adres redakcji: Pismo. Magazyn opinii, ul. Wojciecha Górskiego 1/66, 00-033 Warszawa,  
Redaktorka Naczelna: Magdalena Kicińska, Kultura i sekretarstwo redakcji: Katarzyna Kazmierowska,  
Weryfikacja faktów: Marcin Czajkowski, Idee: Karolina Lewestam, Ekonomia i Technologie: Zuzanna Kowalczyk,  
Redakcja: Urszula Kifer, Zofia Sawicka, Ilona Turowska, Edyta Zielińska, Korekta: Monika Marczyk, Dorota Śrutowska,  
Szefowa Projektów Cyfrowych: Barbara Sowa, Wydanie Cyfrowe: Ewa Pluta,  
Projekt makiety: Jacek Utko, Redaktorka Artystyczna: Karolina Mazurkiewicz, Skład i łamanie: Marta Juchnowicz-Bierbasz,  
Szefowa Marketingu i Sprzedaży: Kalina Wysztyńska, Marketing: Mateusz Roesler, Promocja: Ewa Salamon,  
E-commerce: Anna Ostrowska, Prenumerata i subskrypcja: Marcin Lipiec, Fundraising: Natalia Czarkowska

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania.  
Reklama: reklama@magazynpismo.pl, redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.



**KAROLINA LEWESTAM** (ur. 1979),  
dziennikarka i redaktorka.  
Obroniła doktorat z filozofii  
na Uniwersytecie Bostońskim.  
Wielokrotnie nominowana do nagrody  
Grand Press. Członkini redakcji „Pisma”.

Pani Karolino,  
nie wiem, czy mam problem. Czuję się  
szczęśliwa. I to jest często problemem dla  
ludzi, których znam, z którymi wymieniam  
maile i z którymi czasem przebywam.  
Skończyłam właśnie sześćdziesiąt lat.  
Jestem z tego powodu szczęśliwa. Prze-  
żyłam ponad połowę wieku, zgromadziłam  
wiele doświadczeń, miałam szczęśliwe  
małżeństwo, jestem matką dorosłej już  
córką, pogodziłam się ze stratą ukocha-  
nego męża (dziesięć lat wdowieństwa).  
Trudy życia mnie nie omijają, i z tego po-  
wodu też jestem szczęśliwa, bo na szczę-  
ście wszystko przemija i po burzy świeci  
słońce. Kwiaty w moim ogródku kwitną  
krótko i tylko raz w roku, czyniąc mnie  
szczęśliwą. Mogę tak wymieniać bez koń-  
ca. Z tego właśnie powodu nie spotykam  
się ze zrozumieniem, a więc unikam ludzi,  
którzy nie umieją znaleźć w swoim życiu  
szczęścia. Dlatego oni czekają na potem  
i jakieś obiecane życie wieczne, a ja już  
jestem w swoim Niebie. Tego się po pro-  
stu nauczyłam. Może miałam szczęście :)  
Pozdrawiam Panią bardzo serdecznie wie-  
czorową porą, z rechem zęb z leśnych  
mokrądek w tle.

Dorota

# Szczęście i Pangloss

Droga pani Doroto,  
czy słyszała pani o Panglossie? Tak, to ten wesoły filozof z Voltaire’a.

Otóż Pangloss (i tu zaczyna się cytat z *Kandyda*, przerywany dalej częstym moim komen-  
tarzem, dla wygody czytelniczej i jasności zamykanym w nawias) wykladał tajniki metafizy-  
ko-teologo-kosmolo-nigologii. Dowodził wprost cudownie, że nie ma skutku bez przyczyny  
i że na tym najlepszym z możliwych światów nic nie może być inaczej. A ponieważ wszystko  
istnieje dla jakiegoś celu, wszystko, z konieczności, musi istnieć dla najlepszego celu (dość  
duży skok logiczny ma tu miejsce w wykonaniu drogiego Panglossa; zupełnie jakby mówić,  
że istnieją koty, w związku z czym muszą istnieć wyłącznie najlepsze koty). Zważcie dobrze,  
iż nosy są stworzone do okularów: dlatego mamy okulary. (Nie będę komentować tego ża-  
łosnego zastosowania rozumowania teleologicznego do kwestii biologiczno-ewolucyjnych,  
jestem bowiem litościwa). Nogi są wyraźnie stworzone po to, aby były obute, dlatego mamy  
obuwie. (Tutaj też zmilczę, chociaż mnie nosi – i zaczynam myśleć, że facjata Panglossa  
była wyraźnie stworzona do spotkania z piąchą, co jednocześnie wyraża moją frustrację jego  
filozofią i korzysta z jej założeń w celu poniżenia go). Świnie są po to, aby je zjadać, dlatego  
mamy wieprzowinę przez cały rok. (Świnie byłyby niezwykle zaskoczone takim obrotem  
metafizyki. Jeśli usłyszawszy to, zjadłyby Panglossa, należałoby im przyklasnąć). Z tego wy-  
nika, iż ci, którzy twierdzili, że wszystko jest dobre, powiedzieli głupstwo; trzeba było rzec,  
że wszystko jest najlepsze (koniec cytatu, dzięki Bogu).

Przytaczam tu (niedosłownie) fragment o Panglossie, pani Doroto, wraz z kąśliwym kom-  
mentarzem, bo myślę sobie, że niewiele jest w naszej kulturze miejsc dla takich, co nie dość,  
że są szczęśliwi, to jeszcze się ze swoim szczęściem nie kryją. Jest takich miejsc dokładnie  
trzy i żadne nie wydaje się atrakcyjne. Jeden możliwy szczęściarz to Pangloss, czyli ktoś, kogo  
podejrzewa się o błąd myślenia i związaną z nim pewną hipokryzję (ideologia tak mocno  
go trzyma w swych szponach, że nie chce spojrzeć na fakty – Pangloss wyznaje optymizm,  
więc twierdzi, że jest fajnie; ale mógłby być na przykład marksistą w czasach komunizmu,  
który publicznie twierdzi, że za nic nie chciałby mieszkać na zepsutym Zachodzie). Drugi  
szczęściarz to Kandyd, czyli ktoś, komu przypisujemy błędy charakteru i poznania: naiwność,  
niemożność dostrzeżenia cierpienia i zła wokół. Kandyd jest zadowolony z życia głównie dla-  
tego, że niewiele z niego rozumie. Trzecim możliwym szczęściarzem jest ktoś niemoralny  
– samolub, który zdołał jakimś cudem odsunąć od siebie wszystkie ludzkie trudy albo potrafi  
najzwyczajniej w świecie nie przejmować się okropieństwem świata. I wszystkich trzech  
trzeba albo kąśliwie wyśmiewać (moja próbka wyżej), albo nimi pogardzać, albo ich potępiać.

Nic dziwnego, że jest pani trudno. Przecież, jak myślą pani znajomi, nie można być mą-  
dрым, nienaiwnym, dobrym – i szczęśliwym. A jeśli nawet już się jest, to przynajmniej trze-  
ba zamknąć dziób i się do tego nie przyznawać. Szczęścia jest przecież, to ogólnie wiado-  
mo, ograniczona ilość w ekosystemie; co pani ma, tego nie mam ja, więc epatując swoim  
szczęściem, wytyka mi pani moje nieszczęście i sankcjonuje szczęściową niesprawiedliwość.

Ale powiem pani coś w sekrecie: ja też jestem... bywam szczęśliwa. Wedle mojej metafizy-  
ko-teologo-kosmolo-nigologii lasy są po to, żeby po nich chodzić, jeziora po to, żeby się w nich  
kąpać, a dzieci mają okrągłe głowy wyłącznie w celu głaskania. Ptaki są zrobione po to, żeby  
pięknie śpiewać i zaiwaniać stadnie po melancholijnym, szarym niebie. Córki są po to, żeby  
stawały się pięknie dorosłe, a mężowie po to, żeby o nich pamiętać, nawet jak ich zabraknie.  
Żaby zostały zaś stworzone po to, żeby rechotać dla pani Doroty – ale o tym cicho, o tym sza;  
jak ktoś nas zapyta, to wszystko jest straszne i smutne, i do niczego...

...ja pani nie wydam, a pani mnie, dobra? W końcu K. i pani Dorota zostały zrobione  
przede wszystkim w celu wzajemnego zaufania.

Czasem o trudnych rzeczach dobrze jest  
napisać do kogoś, kto jest daleko. Napisz  
do mnie. [rozmowyzk@magazynpismo.pl](mailto:rozmowyzk@magazynpismo.pl)

## POEZJA

[...]

MATEUSZ SZYMCZYK

—

()

Drodzy drogowcy,  
mleczko rodzą się nocą  
by was zaskoczyć.

()

Co jeśli to ja jestem cieniem rzucanym  
Przez ciało moich przeżyć emocjonalnych?  
To trudno zrozumieć a więc uważaj:  
w wnętrznościach zaczyna się każdy taniec.

Polegamy na źle zrobionych odbitkach,  
inne wcielenia na nas zaraz nakręcą.  
To trudno zrozumieć cokolwiek myśląc,  
wszystko to przypis co przyszedł tu znikąd\* (potrzebne źródła).

()

Wśród porannych mgieł  
lis jest w połowie kitą.  
Uśmiech do pracy.

()

O usypianym psie, który zobaczył kota,  
pamiętam że zerwał się weterynarzowi.  
Ożył, choć już zdawał się pogodzony z losem,  
na skraju życia (i śmierci) puścił się w pogoń.

Czy to nie wyraźny znak że można pozwolić  
sobie na jakiegoś naturalnego wroga,  
który w najgorszym czasie postawi do pionu?  
Ale że jakaś idea, ideologia?

Dla mnie na przykład to za mało by gonić.

W KADRZE

WOLFRAM HAHN | 2009–2010

Rekonstrukcja autoportretu zrobionego w berlińskim mieszkaniu. Fotograf Wolfram Hahn uchwycił moment odpalenia lampy błyskowej na potrzeby swojego cyklu *Into the Light (W stronę światła)*, w którym eksploruje temat powstawania wizualnych tożsamości cyfrowych. Do projektu wyszukiwał *selfie* umieszczane przez berlińczyków w mediach społecznościowych i kontaktował się z ich autorami, pytając, dlaczego zdecydowali się na konkretne ujęcie oraz jaka historia kryje się za każdym zdjęciem. Hahn otrzymał za serię zdjęć drugą nagrodę World Press Photo 2011 w kategorii Portret.



selected by

**EUROPEAN  
IMAGES**

Projekt EUROPEAN IMAGES realizowany przez n-ost, Kajet, Ramina Mazura i Pismo.







# Błędyniec

tekst PAWEŁ SOŁTYS

Przez śmierć wołam Aleksandra Wata, by znów pisał dla mnie: „...i twarz mojej żony. Jej oczy na wieki wieczne amen”. Przez śmierć i czas wołam Lejba Szura, przez śmierć i czas, bo w miejscu jestem niedalekim, przy ostatniej ścianie małego getta, w bramie przy ulicy Złotej. Byłem u siostry nieopodal, karmiłem kota, paliłem na balkonie, a teraz przez śmierć i czas wołam Lejba Szura, który w getcie zbierał książki, żeby je ocalić, który głodując, ostatnie pieniądze wydawał na książki, który ratował rozkradane, palone w piecykach i kozach księgozbiory, a kiedy przyszło „wysiedlenie”, zrozumiał, że to wszystko na marne (ech, rozumiał przecież od początku), i się powiesił. Powiesił się otoczony tysiącem historii uwiecznionych na kartkach wszelkiego rozmiaru, które spłoną i rozkruszą się w czarny pył. Przez śmierć i czas, i błąd wołam Lejba Szura, a z nim wszystkie zebrane przez niego książki, hebrajskie, jidyszowe, polskie, niemieckie i rosyjskie, wołam przez błąd, bo doczytałem później, że zbierał je raczej na Nowolipkach, na Orlej, na Lesznie, na Karmelickiej i na Ciepłej, ale przecież nie mam pewności, może też gdzieś blisko tych kilkuset ostałych się po murze cegieł jakieś litery z jakiegoś poźółkłego tomu kazały mu szepnąć w czas i w śmierć: „Dzisiaj nie będę jadł, dzisiaj zabiorę tę małą do siebie”.

Przez śmierć, czas i krzyki jakichś dzieci w podwórku wołam Mieczysława Jędruszcza, który ocalił ten kawałek ceglanej ściany, gdy wyburzano okoliczne domy, który ufundował tu tablicę, który od lat 50. do śmierci kilka lat temu był opiekunem tego miejsca, tamtego czasu i tamtych śmierci. Wołam żołnierza, grawera i historyka bez studiów, który chciał pamiętać bardziej niż inni, bardziej niż pozostali, bo – być może – rozumiał, co znaczy „pozostali”, lepiej niż inni. Wołam go przez krótki czas, bo umarł niedawno, jest moim pośrednikiem do większych wołań, choć nigdy go nie spotkałem i jego twarz mam tylko w wyobrażeniu, jak twarz Lejba Szura na wieki wieczną. Amen. Ujmen.

Przez śmierć, czas, cicho, myślami w głowie wołam ich wszystkich, bo pamiętam zdjęcie z sierpniowego powstania, na którym na rozbitej Złotej ktoś postawił tabliczkę: „NIZKO W ODSTĘPACH BEZWGLĘDNA CISZA”. Postawił i wiedział, że żaden wykrzyk nie jest tu potrzebny i nawet co do natury ciszy nie miał złudzeń. Więc wołam przez śmierć, czas i dźwięki ulicy Złotej, alei Jana Pawła II, przez piski tramwajów i daleką melodię gitarzysty z Charkowa, wołam najciszej, bo tylko w sobie, w swoim znużeniu upałem, w swoim strachu codziennym, we własnych autoironicznych i ganiących się za egzaltację myślach, wołam Aleksandra

Wata, Lejba Szura, Mieczysława Jędruszcza, którzy nigdzie indziej niż w tym wołaniu spotkać by się nie mogli, wołam wiersze pierwszego, spalone książki drugiego i *Pamięć ojca* o trzecim, i wiem, że to wszystko zapiszę, zrobię z tego „literaturę”, i że to będzie akt zdrady i wierności równocześnie. A ponieważ jestem rozpalony, podniecony dziwnie tym wszystkim, zawstydzony sobą w tym miejscu i w tym szeregu, mówię do muru: „Zawołajcie mnie tu za czas jakiś. Zawołajcie mnie przez śmierć, czas i błąd, przez przestrzał litery p i światło litery o, przez to, że próbowałem wołać, ja, tutaj”. Przez śmierć, przez czas wołałem swoją matkę, która umierając, szeptała „Mamo, mamusiu”, choć matka porzuciła ją na trzydzieści lat, gdy ona była sześciolatnią bezbronnością, i nikt nie wie dlaczego, i moja matka, którą wołam teraz przez śmierć, przez czas, też do śmierci nie dowiedziała się czemu. Nie dowiedziała się, dlaczego na długie trzydzieści lat jej mama, mamusia zostawiła ją w Gliwicach pod opieką babki Rosjanki i odwiedziła raz, nie dowiedziała się, choć były podejrzenia, może nawet plotki, ale żadna nie dość silna, by oblec się w prawdę, i mimo wszystko, mimo to, gdy umierała w Wyszkowiu w szpitalu, szeptała: „Mamo, mamusiu”, wołała swoją okrutną matkę przez śmierć, przez czas, przez ból, bo tak już jest i nadzieja gnieździ się czasem



w rozpacz i okrucieństwie, i teraz oczywiście ja wołam swoją matkę przez śmierć, przez czas, przez kamień prawosławnego grobu na Woli, gdzie pod krzyżem leżą już obie i mąż tej okrutnej – ojciec mojej mamy, który ją kochał, ale przecież się na to zgodził, na to porzucenie, na tę rozłąkę, i jego też wołam przez czas, przez śmierć, przez „nie wiem”, miesząc osobiste z zapisanym, stawiając go w szeregu z Lejbem i Watem, i Jędruszczykiem, i moją matką, i dziwną, nieprzenikloną matką mojej matki, jego – mego dziadka urodzonego w Kijowie w roku rewolucji z narodowego mezaliansu, z miłości bogatej Rosjanki i gołodupca Polaka. I już nie wiem na pewno, co jest prawdą, a co melodią zwodniczą tych wołań napróżnych, a brązowe kamiki zostawione przez wycieczkę izraelskich dzieci przy ostanku ściany małego getta, półokrągłe brązowe kamiki patrzą na mnie oczami mojej matki. Jej na wieki wiecznymi oczami. Amen.

—  
A BYŁA TEŻ PRZECIEŻ jedna z tych nocy, w której wwierca się jakaś zasłyszana albo przeczytana historia i jak blask pełni kładzie się na powiekach. Nici ze snu. Pruje taka historia sen ledwo nadeszły albo skradający się dopiero w przedpokojach mózgu. Ta była o lubelskim kościele Nawrócenia Świętego Pawła. Pobernardyńskim. W którym remontowano XVII-wieczne drewniane stalle, a remont polegał na starannym i pozornie ślamazarnym zdejmowaniu warstw farby i lakieru w nadziei, że pod którąś kolejną coś czeka. Trzysta z okładem lat ukrycia, dziesiątki warstw ciemności. I w końcu ukazały się twarze, stroje, oczy. Malujący miał spory talent, zwłaszcza do spojrzeń. I wejrzenie w ich tajemnice. Tak głębokie, że nawet teraz, wśród zaczernień, białych plamek, nacieków i zwykłych wyrw, postacie zdawały się patrzeć przez czas na konserwatorów, księdza z założonymi rękami i czytelników oglądających zdjęcia dołączone do artykułu o odkryciu. I na nieśpiącego, który pod powiekami wnosił właśnie w nocne godziny spojrzenie świętego w szarej tonsurze, być może Antoniego Padewskiego, odkrywcy nie są jeszcze pewni. Spojrzenie wypełnione smutkiem niemal przebijającym, tak że rysunek skrzywionych nieco, grubych i kpiących

ust zdawał się wobec rozpacz zawartej wyżej – bluźnierczy. Nieśpiący nie mógł przestać myśleć o tysiącach miesięcy i dziesiątkach tysięcy dni, gdy te oczy patrzyły tylko w brąz i czerni olejnej farby. Śpiewano, odprawiano msze, spowiadano się i modlono wszystkimi tembrami głosu, a oślepiiony na więcej niż dwa miliony godzin święty milczał pod kolejną warstwą malunku; dawno już umarli ci, którzy mogli pamiętać o jego istnieniu. A jednak co kilkadziesiąt lat, gdy kolejny brat albo wynajęty robotnik grzebał go w coraz gęstszej ćmie nowymi pociągnięciami pędzla, skrzywiały całe stalle, aż zegnano się zabobonnie, mimo że to kościół. Obrazy nie mogą o siebie wołać, ale kto zna wszystkie sprawy czterystuletniego drewna nasączonego niezliczonymi modlitwami? Tymi mrużanymi dla odbycia rytuału, tymi szczerymi, dziećmi i bab, idącymi z wiary i żołądka bardziej niż ze strun głosowych, i tymi łkanymi w sprawie życia i śmierci, stukającymi o farbiący grób obrazu jak o wieko trumny zmarłego dziecka. Nieśpiący myśli o tym mądrym smutku świętego, chyba Antoniego Padewskiego, który ma być może oczy przyjaciela bezimiennego, zapomnianego malarza albo i jego samego. I tylko lata za zasłoną, w czerni, wyżyłoby w ich spojrzeniu to coś, co przykuwa i nie chce puścić, może te lata w ciemności szyderczo wykrzywiły też usta? Bo przecież nikt sam z siebie nie zamalowałby takiego spojrzenia, po którym jak po sznurku można się nawrócić, od którego po plecach chodzą ciarki, po którym widać, że wybaczyć może każdy grzech? Nieśpiący myśli o oczach matki, o których pisał miesiąc temu, o oczach żony Wata, o oczach świętego. Co się z czym rymuje, co czemu przecież, które spojrzenie przebija przez które na wskroś? Kto na kogo patrzy naprawdę? I co z ciemnością?

—  
ŚWIĘTY ANTONI PADEWSKI był Portugalczykiem i przed wstąpieniem do zakonu miał na imię Fernando. Dlatego wolno go sobie wyobrazić pod postacią Fernanda Pessoa, który przecież kochał szarady, przebrania i zmyłki, i taka rosza w czasie i osobach byłaby mu w smak. Pessoa umarł w wieku czterdziestu siedmiu lat na marskość wątroby, a Antoni Padewski w wieku trzydziestu

sześciu lat na puchlinę wodną, jak Heraklit. W młodości pragnął zginąć męczeńsko w Maroku, a mówią też, że pewnej nocy Dzieciątko Jezus ucałowało go w policzek, przytrzymując głowę zakonnika małymi świętymi rączkami. Bezręki księżyc oświetlał tę scenę, aureole świętego i Dzieciątka tliły się jak palniki gazowej kuchenki, którą miało wynaleźć dopiero za sześćset lat, ale lata przecież kłębią się w religiach i mitach jak ławice przestraszonych drapieżników ryb.

Święty Antoni Padewski w dzieciństwie zdawał mi się Polakiem. „Padewski” brzmiało jak „Paderewski”, „Wiśniewski”, „Dąbrowski”, zupełnie nie przypuszczałem, że oznacza to „z Padwy”, a i o Padwie wtedy nie wiedziałem zgoła nic. Atrybuty Antoniego to między innymi księga, lilia i serce. Jest świętym od ludzi i rzeczy zaginionych, a ponieważ nieustannie coś gubimy i tracimy, jego popularność wśród wiernych właściwie od dnia kanonizacji jest ogromna i powszechna. Gdy zaryzykujemy myśl, że jest świętym od utraty, wtedy i Pessoa, i Heraklit zdają się bardziej na miejscu w tym tekście i możemy iść dalej.

We wspomnieniach o niedawno zmarłych, osobliwie osobach znanych i podziwianych, stosuje się tę zadziwiającą frazę: „gdyby żył”. „Gdyby żył, miałby dzisiaj siedemdziesiąt jeden lat”. I jest to oczywiście zakamuflowane zakłęcie, jakich wypowiadamy wiele, nie zwracając na to uwagi. Dopiero gdy odważymy się surrealistycznym chwytem wydłużyć to zakłęcie poza doczesne przyzwyczajenie, widać to wyraźnie. „Święty Antoni Padewski, gdyby żył, miałby dziś osiemset trzydzieści osiem lat”. Moja matka, gdyby żyła, miałaby dziś siedemdziesiąt jeden lat, ale idziemy tylko przez zamgloną Wolską na jej grób. Cerkiew wyrusza się krzyżami na kopułach z mgły jak absurdalny okręt, na starych zzieleniałych rosyjskich grobach odcyfrowują napisy wyryte jeszcze starym stylem, z jaciama i jerałkami, które przepłynęły w ruszczyźnie setki lat, z języka starocerkiewnosłowiańskiego. „Tu leżą prochy Natoczki Faliowej. Urodzonej 29 października 1905 roku, zmarłej 1... 1906”. Gdyby żyła, miałaby dzisiaj sto siedemnaście lat, nuci mi się takie zdanie w głowie, jak głupia piosenka, której nie da się pozbyć z myśli. Nagrobek jest bardzo

zniszczony, tu w powstaniu i w czasie rzezi Woli zmarli zazdrościli zabijającym. Z figurki małej dziewczynki zostały nogi i sukienka – bezręka i bezgłowa. Idziemy zapalić znicze, spojrzeć na płytę i napisy, w których są Abramowicze i Pińsk, i Kijów, i moja mama już z nazwiskiem małżeńskim, w urnie, przy której wybieraniu w miłym i zacisznym pokoju domu pogrzebowego wpadłem w małą histerię i, prawdę mówiąc, do dzisiaj w niej jestem, tylko dobrze ukryty, sam siebie prawdziwego niosę w urnie pod sercem i żaden z lekarzy nie wie, co mi jest, a mnie nie wolno tego zdradzić, bo wtedy już nic nie zostanie. Gdybym żył, miałbym dziś czterdzieści cztery lata, osiem zniczy, dwie doniczki kwiatów i kilka żółtych liści uczepionych butów. Tak kiczowato ten pierwszy listopada się sam podkreśla, mgłą, wilgoć, martwe liście czepiające się żywych.

—  
CIEPLEY, CHOĆ podlany deszczem listopad prowadził mnie nie tylko po cmentarzach. W lewej kieszeni płaszcza miałem torebkę pestek słonecznika dla kaczek i wróbli, a w prawej torebkę orzechów laskowych dla sroki, wron i gawronów. Czarnogranatowe gawrony przyleciały już ze wschodu i bardzo ostrożnie poczynają sobie ze mną i z moimi orzechami. Dużo dłużej niż lokalne sroki i wrony wpatrywały się w moją zgarbioną sylwetkę, moją dłoń buszującą w kieszeni i w końcu w orzech toczący się po chodniku jak ktoś uciekający przed czymś strasznym. Jednak po kilku chwilach zlatywały z gałęzi, latarni albo murku, jednym uderzeniem czarnego dzioba rozbijały orzech i łykały go na dwa, trzy razy. Patrzyły na mnie czarnymi oczami, a w świetle słonecznym, którego w tym listopadzie było nadzwyczajnie dużo, ich pióra połyskiwały wręcz fioletowo i przypomniawszy mi się, że same w ultrafiolecie widzą swoich pobratymców w wielu kolorach. Taką mają tajemnicę pod czarnym garniturem skrzydeł. Czułem, że są jak ja, niepozorne i codzienne w swoich pracach: poszukiwaniu pokarmu w ziemi, polatywaniach, popatrywaniach z przekręcaniem łba, jakby nie mogły się nadziwić, jaki ten świat jest. Któregoś dnia powiedziałem nawet za odlatującym spłoszonym przez samochód stadem: „Oto wszyscy święci. Przylecieli na

swoje święto incognito. Oto wszyscy zmarli w piórach z czarnego prochu, podwójnie obróceniu”.

Żarliwe, choć być może pozornie ironiczne modlitwy i ofiary dla ptaków spodobałyby się pewnie Pessoi, spodobałyby się i zapatrzonemu we Franciszka Świętemu Antoniemu z Padwy. Temu, który w Radecznicy na Roztoczu objawił się Szymonowi Tkaczowi, choć właściwie było to na Łysej Górze, na której wiadomo przecież, że dzieją się zwykle sprawy nie tylko z tego świata. Antoniemu, który spojrzawszy na ubogiego tkacza Szymona i przemówił do niego w roku 1664, w roku kolejnej wojny, w roku wielkiej



biedy, w roku strachu, przemówił, a Szymon nagle zrozumiał, że po to żył dotąd, a może i po to żyli jego równie ubodzy matka i ojciec, a nawet babki i dziadkowie, po to, by on mógł teraz patrzeć w ten blask, który łatwo pomylić z promieniem słonecznym, i by mógł słyszeć te słowa, które łatwo pomylić z szelestem starych drzew, ze szmerem strumieni wypływających u podnóża góry. Lud szybko ustawił na miejscu objawienia krzyż i modlił się, czerpiąc cudowną wodę ze źródła. A Szymon opowiadał takie rzeczy, że w końcu nawet biskup Mikołaj Świrski usłyszał, wzniesiono pierwszy kościół i sprowadzono braci bernardynów, i szły cuda, i szli

pañnicy do Radecznicy, najpierw z najbliższych okolic, potem z całego województwa, powołano komisję, która zapisywała słowa objawienia i przebieg cudownych uzdrowień, i choć podobno nie wszystkim było to w smak, zatwierdzono, co cichym głosem mówił tkacz Szymon. Zapisano w księdze. Jeszcze przed końcem XVII wieku powstał murowany klasztor i kościół, umarł Szymon i jego następcy, a kult rósł, narodu na 13 czerwca, czyli w dzień odpustu ku czci Antoniego Padewskiego, szło kilkadziesiąt tysięcy do klasztoru, do świętych źródeł, do barokowego kościoła – zobaczyć obraz, na którym Antoni z Dzieciątkiem i lilią, obraz łaskami słynący, i modlić się, modlić, modlić tak, że gdyby istniał ultrafiolet do modlitw i jakiś ptak tak umiejący patrzeć, to nad Łysą Górą widziałby snop modlitewny idący ku niebu jak dym z fabrycznego komina. Po powstaniu styczniowym carskie władze wypędziły braci z Radecznicy, na górę zamieszkali prawosławni mnisi, kościół przerobiono na cerkiew i pewnie modlono się do wschodniego Antoniego, który nad Dnieprem zaparł się na czterdzieści lat w pieczarze i dlatego nazywają go Pieczerskim, jak i ławrę, której dał początek. W wolnej Polsce bernardyni wrócili do Radecznicy, wrócił święty obraz i wrócili pielgrzymi. Zakonnicy mieli drukarnię i miesięcznik „Głos Kolegialny”, w którym na Wielkanoc 1938 roku pisali: „Już się z pogodnych niebios oćma zdarła smutna...”. Odważnie jak na katolickich mnichów. Niestety oćma zdarła się nie na długo, zaraz następna wojna rozłożyła się obozem w kraju, a po wojnie władze utworzyły w klasztorze szpital psychiatryczny, grupę braci zaś skazały w pokazowym procesie za działalność antypaństwową. Zimą, gdy śnieg przykrywał okolicę, stada gawronów i wron drepwały wokół zabudowań, przechylając głowy i przyglądając się obłąkanym, i nie można było wypatrzeć w tych oczach ani litości, ani potępienia, tylko ptasią ciekawość.

Z czasem, w miarę jak wojna z Kościołem słabła, powoli oddawano bernardynom część budynków, a wierni znowu zaczęli pielgrzymować do Radecznicy. A w roku 2010 pan Stanisław Zybała wysłał kilka listów do Gminy Żydowskiej w Lublinie. Pan Stanisław urodził się w 1930 roku w Zaborzu, to jest krok od Radecznicy, i dużo

pamiętał, a to, co pamiętał, nie dawało mu spokoju, i gdy myślę o nim, a myślę wcale często, myślę też o Szymonie Tkaczu, o tym, jak się objawienia odbijają nierozpoznawalnym już niemal echem w sumieniu i jak to wszystko łatwo pomylić: myśli, wspomnienia, modlitwy. Pan Stanisław Zybala pisał i opowiadał (gdy już przyjechała komisja do spraw cmentarzy). O wózwie w Radecznicy, na który mówią Drugie Doły, tak: „...Strzałów to myśmy ze Stachem nie słyszeli, jak kto ich tam mordował, tych ludzi, w każdym bądź razie my jak przyszedliśmy, chodziliśmy tam po krzakach, szukaliśmy drzewek w pewnym miejscu, posłyszeliśmy jakąś rozmowę, jakiś hałas. Stanęliśmy w pewnym miejscu, obserwując, co tam się dzieje. Ruchy, coś tam się dzieje, chodzą, rozmowy, taki bełkot i tak dalej. Stoimy sobie ze Stachem, a wiedzieliśmy, że się Żydzi ukrywają gdzieś tutaj, w drugich dołach. Wobec tego ktoś pewno wymordował Żydów i teraz przysłali ludzi... Bo to już wiedzieliśmy o tym, byliśmy nauczeni doświadczeniem, że się przysłała pogrzebaczy, żeby pogrzebać tych ludzi. To pewno przyjechali i będą ich tam grzebać. No i rzeczywiście, sołtys przysłał ludzi z Łatyczyna, zakopali, pogrzebali. (...) To byli Żydzi z Radecznicy. Moja sąsiadka Raźla, na temat której mam sobie taką pamiątkę, rzeźbę. Raźla to była piękna dziewczynka. Ona wtedy została tutaj podobno zabita [w Drugich Dołach]. I potem często to ja chodziłem, to potem już i z żoną. Żeśmy sobie tam chodzili kontemplować tamte czasy. Zdaje się, tam kiedyś zaświeciliśmy światełko. Ja tam nawet pod wpływem jakiejś tam emocji pokreśliłem pionowy znak i poprzeczny. (...) To był grudzień przed świętami w 1942 roku. Święta są 25 [grudnia], to my byliśmy może 23, może 22 po te choinki, wtedyśmy to oglądali z moim kolegą sąsiadem Stachem”.

A o radecznickiej cegielni tak: „A tam na placu cegielnianym to się egzekucja odbywała. A tam to jeden z tym, jak tam... a Judka, ten, który tam mieszkał na Zielonej, to już tak chodził, męczył się, chował się, krył się. Wreszcie był tak tym zmęczony i mówi tak kiedyś, tak mówił do ludzi, teść, ojczym mojej żony, mówił tak: świat jest taki ogromny, a ja się nie mam gdzie schować. I w końcu

poszedł na policję i prosił: zabijcie mnie, bo ja już dalej nie mogę tego zdzierżyć. No i przyszedł taki moment, jak wyprowadzali, bo on tam siedział w kozie. Tam przy starej gminie, jak żeśmy to skręcali, to kiedyś tam była stara gmina, budynek gminy. To jeszcze był carski budynek. I wtedy, jak ich wyprowadzali, tych wszystkich, i nawet matkę, tego Rubina [Weistucha] też, bo Rubin jak uciekł, bo matka jak wróciła z lasu, to bała się do domu i to już siedziała w kozie. To Rubin przynosił im jeść tam od Krukowskich, tam do tejkozy. Tam jeszcze parę dni, aż więcej się nabierało osób. Dopiero zbierali ich i tutaj przyprawdzali, i tutaj odbywała się egzekucja. (...) I tutaj to prawdopodobnie Judka był. Jak strzelali, to nie zastrzelili i tutaj dostał w brzuch czy gdzieś. I wtedy prosił, żeby go dobić, ale nikt z tych grzebających nie mógł tego zrobić i mówili: Judka, może sam umrzesz”.

Pan Stanisław Zybala narysował mapę i postawiono drewniane macewy, i był rabin, i szli ludzie przez miasto, i teraz wiadomo, że w Drugich Dołach, przy cegielni i w klasztornym ogrodzie leżą ludzie. Leżą ludzie, a jesienią i zimą po ziemi, która ich przykrywa, chodzą i skaczą gawrony, sroki i wrony, i szukają w twardniejącym gruncie nasion, pędraków, kłączy. Wygląda, jakby szukały tajemnicy, ale przecież to tylko pozor, tak jak tu u mnie na Saskiej Kępie

w tym listopadzie. Gawrony na ulicach, wrony nad Wisłą, gawrony, sroki i wrony w parku Skaryszewskim. Rzucaliśmy im z córką orzechy i nasiona słonecznika, tak jak robiłem to z mamą w Łazienkach po drugiej stronie rzeki trzydzieści lat temu. Córka chciała koniecznie iść do „labiryntu”, który płacze się wokół rzeźby Tancerki. Tak naprawdę to kilka wąskich alejek porozielenych krzewami, ale można się tam dobrze schować i dobrze ganiać, na rozwidleniach skręcając nagle, thumiąc śmiech. Córka ruszyła w labirynt, a mężczyzna idący obok mnie zaczął wołać: – Jorge! Jorge! – Spojrzałem na niego i szepnąłem na próbę: – Italo! Ale popatrzył na mnie jak na idiotę, bo to był latynoamerykański dyplomata, jakich wielu na Kępie. Wołał pięcioletniego syna, który gonił właśnie moją córkę. Usiadłem na ławce i patrzyłem na świat, już zmierzchało, przypomniałem sobie, że gdy nie mogłem zasnąć, moja mama mówiła: „Ty licz od jednego do stu, a ja będę liczyć od stu do jednego, w dół. Po cichu, w myślach. Jakbyś wchodził po drabinie, a ja będę schodziła, miniemy się, ty wejdziesz do snu, a ja zejść jeszcze poprosować”.

—  
ACH I PRZECIEŻ jeszcze ta nieprawdopodobna historia, o której strach przed śmiechem mówić, tak się wydaje odęta swoim

## À propos

PODCAST

ZUZANNY KOWALCZYK

Sluchaj na [magazynpismo.pl](https://magazynpismo.pl)  
i w ulubionych aplikacjach  
podcastowych.



Pismo.  
DO SŁUCHANIA



nieprawdopodobieństwem, a przecież jest prawdziwa do szczętu, jak tylko prawdziwe mogą być historie przykryte latami, te, które nosimy pod sercem, jakbyśmy tam mieli urnę albo małą, groteskową, zbitą z żeber areczkę przymierza. I nie uchylamy jej wieka prawie nigdy, a pilnuje tych historii trójca jej strażników – wątroba, serce i płuca bliźniaki.

Bo była ta tajemnica, w której moja matka sześćdziesięcioletnia została w Gliwicach z babką Rosjanką, a jej tata i mama, czyli dziadek Witek i babcia Albina, żyli sobie w Warszawie ze swoimi synami, moimi wujkami: tym, który potem siedział, i z wujkiem wariatem, co nie wychodził, ale obaj oczywiście byli wtedy mali. I tak minęło trzynaście lat, i tylko raz matka mojej matki ją odwiedziła, a mimo to gdy moja matka umierała, to... Tajemnica, o której się nie mówiło, której grozę pojąłem, gdy już byłem dorosły, i tylko raz spytałem o to mamę po kieliszkach białego wina znad Mozeli, ale zobaczyłem w jej oczach tyle smutku, że starczy mi go do końca, i tata spojrział wtedy na mnie, jakbym znowu miał sześć lat, a nie czterdzieści, i ktoś inny przy stole zażartował, a tajemnica jak dym powisała nad nami i w końcu rozwiła się od śmiechu, wina, rozmowy, bo dobrze nam było zawsze ze sobą i nawet ona, ta tajemnica, ta cisza nie miała nad nami wiecznej władzy.

Ale przypominała mi się co pewien czas. Uporczywa jak ból nerwowy, zjawiała się w jakąś czwartkową noc albo niedzielny poranek. Szeptwała, gdy akurat nikogo nie było w pobliżu: „Jestem”.

W pewien październikowy wieczór, gdy wszyscy jeszcze byli żywi, to znaczy oprócz dziadka, który przed śmiercią zapomniał polskiego, i oprócz babci, która po wylewie przestała mówić, i oprócz wujka wariata, którego wątroba nie wytrzymała próby leczenia wielkiego strachu. Żyła moja matka, żył drugi wujek gdzieś w Skale, pijąc wódkę zawodowo, i cała reszta jeszcze żyła, żyła nawet ciocia Stefania, do której nikt nigdy nie mówił inaczej niż „Stenia”. W pewien październikowy, sinoszary wieczór wracałem z miasta na Grochów. Do tego mieszkania, z którego wcześniej wujek wariat nie wychodził przez trzydzieści lat, z którego matka mojej matki nie przyjeżdżała do Gliwic, a w którym teraz mieszkalem

ja. Ja wsunięty w ich meble, książki, stare kupony totalizatora sportowego, w ich tajemnice i strachy pozostawione w rzadko odkurzanych kątach. Stałem na przystanku. Była mgła i wilgoć osiadała na kurtkach i płaszczach ludzi czekających na autobus. W końcu wsiedliśmy dużą grupą w 523 przy Polu Mokotowskim. Wszystkie miejsca były zajęte, za oknami szedł zmierzch i rysy miasta wydawały się rozmyte, nie do końca prawdziwe w zaduchu starego ikarusa. Ktoś zakaszał ostro i bałem się, że ten kaszel może rozedrzeć całą scenę, i wpadniemy w tę mgłę. Pamiętam – pomyślałem wtedy: „To wygląda jak w czarno-białej kronice filmowej z lat 80”. Niezamożni, poszarzali, marnie odbijający się w szybach ludzie wracający do domów. Brakowało tylko narratora z offu, który głosem Andrzeja Łapickiego obwieściłby: „Zmęczeni mieszkańcy Grochowa po pracowitym dniu nieśpiesznie suną węgierskim autobusem przez powoli tonące w mroku miasto”. Stałem nad podwójnym siedzeniem, trzymając się poręczy, i chyba liczyłem, ile będę musiał pożyczyć od kolegów na gaz i prąd, gdy tył głowy jednej z kobiet przykuł moją uwagę. Z początku nie wiedziałem dlaczego. Takie fryzury były popularne w latach 60. Spod jakiś już czas temu nałożonej brązowej farby srebrzyły się pasemka zdradzające wiek. Ludzie wsiadali i wysiadali, mgła przeszła w deszcz, a ja przesunąłem się kilka kroków do przodu. I zacząłem łączyć chwytając powietrze. Po chwili chciałem powiedzieć: „Mamo, cześć, co ty tu robisz, jedziesz do mnie?”. Ale coś mnie powstrzymało. Kobieta miała fryzurę jak moja matka, jej posturę i większość rysów twarzy. Ale wyglądała, jakby postarzała się inaczej, inne linie zmarszczek wyłobiły jej twarz, inaczej obluźowały się mięśnie powiek. Była też szczuplejsza i gdy zauważyła wreszcie, że się w nią wgapiam, omiotła mnie spojrzeniem raczej znużonym niż ganiącym czy chociażby zdziwionym. Byłem dla niej obcym człowiekiem. Zrobiło mi się gorąco, potem zimno, pot popłynął po mnie jak przed maturą. Patrzyłem teraz ostrożnie, odnajdując sporo różnic między tą kobietą a mamą, ale ciągle oszołomiony podobieństwami. Nagie gałęzie drzew, gdy kierowca zwalniał, wyglądały w oknach jak pęknięcia. Autobus skręcił w Szaserów, powinienem

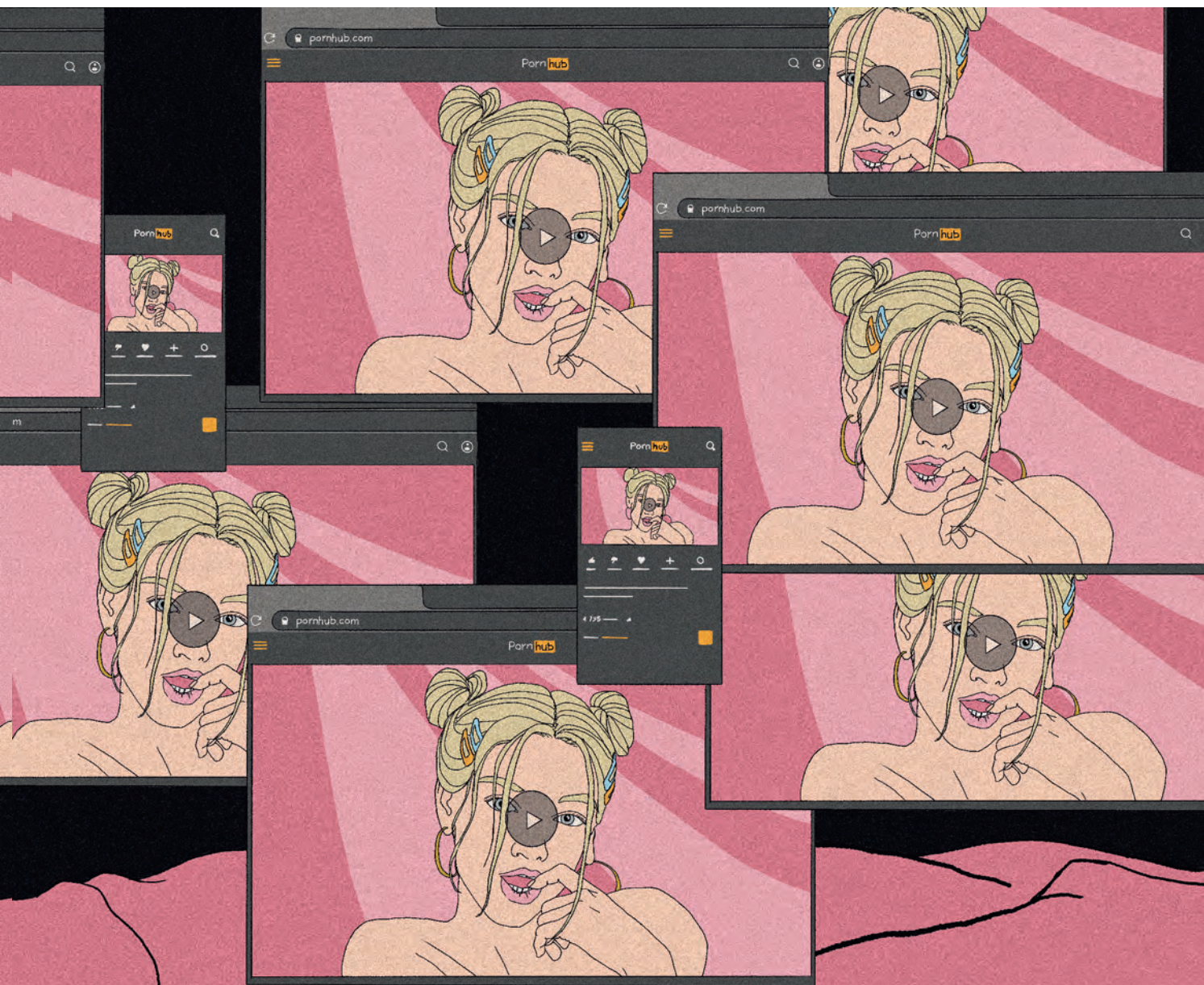


był wysiąść, ale coś mnie trzymało w tym ikarusie. Tajemnica ścisła mnie teraz mocno. Przebiegały mi przez myśl plotki o dziadku, ledwo słyszalne w dzieciństwie, kłótnie babci i mamy, ta dziwna temperatura rodzinnych spotkań ani gorąca, ani chłodna. Przy Chłopickiego kobieta ludzko podobna do mojej matki wysiadła i ja wysiadłem za nią. Nie wiedziałem, co robić. Podejść i zapytać, dlaczego wygląda jak moja mama? Idiotyczne i dziwne. Śledzić ją po zmroku w zakamarkach Grochowa? Stałem po kilku krokach, budynki we mgle wyglądały jak niedobudowane, chodnik, którym odeszła, kończył się w szarościach, jakby za nim nie było świata. Nigdy nie powiedziałem o tym nikomu i starałem się myśleć o tym jak najmniej. Nigdy też już jej nie spotkałem. Z kolejnymi miesiącami całe zdarzenie coraz bardziej zdawało mi się fragmentem mojego opowiadania, zmyśleniem dobrym, by ubrać je w literaturę, ale wiedziałem i wiem przecież, że w tej arce pod sercem, w tej urnie ta historia owinięta jest bibułą, na której napisano: „Prawda”. I nie mam nawet na co wam przysiąc, bo moja matka umarła.

Tego i innych opowiadań  
wysłuchasz w wersji audio na  
[magazynpismo.pl/opowiadanie](http://magazynpismo.pl/opowiadanie)







REPORTAŻ

# Jak rozliczyć Pornhub?

tekst SHEELAH KOLHATKAR  
przełożyła ANNA DZIERZGOWSKA

---

EROTYCZNE WIDEO nakręcone bez zgody filmowanych zalewa internet. Jak poskromić strony z treściami dla dorosłych?



Pewnej nocy 2017 roku piętnastoletnia Rachel (imię zmienione) dostała na WhatsAppie wiadomość z nieznanego numeru. Mieszkała razem z matką, ojczymem i rodzeństwem w średniej wielkości mieście w Wielkiej Brytanii. Właśnie wróciła z imprezy i była sama w sypialni. – Miałam naprawdę niestabilną sytuację domową, brakowało mi sensownego wsparcia – opowiadała mi niedawno, siedząc na łóżku w puchatym białym szlafroku. – Byłam w totalnej rozsypce, nikomu nie ufałam, wpadłam w tryb autodestrukcji.

Mężczyzna, który przysłał jej wiadomość, załączył jej nagie zdjęcie. Nie była sobie w stanie przypomnieć pochodzenia tej fotki. Po chwili wysłał też link do profilu jej matki na Facebooku oraz listę imion innych członków rodziny i szkolnych przyjaciół, grożąc, że wyśle im fotografie, jeśli Rachel nie wykona jego instrukcji. Do dziewczyny natychmiast powróciło wspomnienie sprzed kilku lat, kiedy koleżdy z klasy rozesłali sobie jej zdjęcie w bieliźnie, czego skutkiem było wielomiesięczne nękanie i atak depresji. Spanikowana, zastosowała się do poleceń. Mężczyzna najpierw nakazał jej, żeby zapaliła światło w pokoju i sfotografowała się w bieliźnie. Następnie polecił, żeby wysłała mu kolejne zdjęcia, tym razem nago, i nakręciła film, na którym się rozbiera i masturbuje. Jak opowiadała mi Rachel, polecenia stawały się stopniowo coraz śmielsze, wreszcie mężczyzna kazał jej zrobić coś tak odpychającego, że odmówiła. Przerwała korespondencję i, jak wspomina, usiadła na łóżku w szoku. Później, kiedy matka zajrzała, żeby powiedzieć jej „dobranoc”, udała, że wszystko jest w porządku.

Następnego dnia Rachel co godzinę sprawdzała swoje konta w mediach społecznościowych, pewna, że zdjęcia i filmy wypłyną. Miesiące mijały i wydawało się, że nic się nie wydarzyło. Aż pewnego dnia, gdy jechała taksówką, dostała wiadomość od chłopaka z sąsiedztwa, który pytał, czy wszystko u niej w porządku. Załączył link do strony zawierającej dziesiątki folderów pełnych zdjęć i filmów z kilkoma dziewczynami w podobnych pozach, często zapłakany. Jedną z nich była Rachel. Poprosiła chłopaka, żeby zgłosił konto, z którego zostały wysłane. Jak mi opowiadała, myślała o tym, żeby wyjechać do innego miasta i się zabić. – Ostatecznie

wsiadałam już do pociągu, ale przyjacielki i przyjaciele mnie zatrzymali – mówi.

Zdjęcia i wideo Rachel znalazły się na Pornhubie, jednej z największych stron pornograficznych w sieci i jednej z najczęściej odwiedzanych witryn internetowych na świecie w ogóle. Był czas, kiedy Pornhub zawierał około 14 milionów filmów, w tym zarówno profesjonalnie nagranych, jak i tworzonych przez użytkowników. Część wideo z Rachel zawierała jej prawdziwe imię, a w komentarzach znalazły się linki do profili jej i członków jej rodziny w mediach społecznościowych. Fragment jednego z filmów został umieszczony na Snapchacie i Instagramie. Ktoś podesłał wideo ojcu Rachel, jakiś stalker wysłał jej zdjęcia, które robił pod jej domem w czasie, kiedy siedziała w środku, zajmując się młodszym bratem. Dziewczyna złożyła skargę, korzystając z pomocy Child Exploitation and Online Protection Command, wydziału brytyjskiej Krajowej Agencji do spraw Zwalczania Przestępczości (National Crime Agency), jednak jak wspomina, nie uzyskała większej pomocy.

Rachel przestała sypiać. Całe dni i noce spędzała, wyszukując filmy i wypełniając dziesiątki wniosków o usunięcie treści. „Cześć, jestem niepełnoletnia, a wiele filmów i zdjęć ze mną zostało tu umieszczonych – napisała do Pornhuba w grudniu 2018 roku. – Wciąż pojawiają się na stronie, a ja mam na nich tylko piętnaście lat i nie mam linków. Nie wiem, co robić, ponieważ za każdym razem, kiedy udaje mi się doprowadzić do ich usunięcia, wy pozwalacie, żeby znów zostały wrzucone, niszcząc mi życie”. W odpowiedzi Pornhub poprosił o link do każdego filmu, nazwę konta, z którego je wrzucano, tytuł folderu albo *screeny* ze strony. Rachel wysłała informacje, do których miała dostęp, ale filmy często były ładowane w postaci migawek, których nie była w stanie przesłedyć. Za każdym razem, kiedy udało się zdjąć jeden, pojawiały się następne. Ostatecznie poddała się. – Poświęcałam cały swój czas na zgłaszanie filmów. Bardzo dużo mnie to kosztowało – opowiadała.

Rachel przestała wychodzić z domu, korzystała z pomocy społecznej. W lutym 2020 roku zobaczyła na Instagramie post o pracy działaczki zwalczającej handel ludźmi do celu wykorzystywania seksualnego, Laili

Mickelwait. Napisała do niej, a ta skierowała Rachel do służb, które mogły jej pomóc z wnioskami o usunięcie treści. Skontaktowała ją też z prawnikami z Brown Rudnick przygotowującymi pozew przeciwko MindGeek (firmie będącej właścicielem Pornhuba) w imieniu osób, które twierdziły, że wideo z ich udziałem umieszczono na stronie bez ich zgody. Kiedy prawnicy przesłali MindGeek wezwanie, firma błyskawicznie usunęła filmy z Rachel, a następnie zablokowała możliwość ich ponownego zamieszczenia. – Laila okazała się niezwykle pomocna – opowiadała mi Rachel. – Zrobiła dla mnie więcej niż policja czy ktokolwiek w Wielkiej Brytanii.

W tym czasie Mickelwait pracowała dla Exodus Cry, organizacji odwołującej się do wartości religijnych, która dąży do „zniesienia komercyjnego wykorzystywania seksualnego”, a także zmiany warunków, które je umożliwiają. Mickelwait, obecnie czterdziestoletnia, pracowała w Exodus Cry od 2012 roku. Zajmowała się przede wszystkim zapobieganiem sytuacjom, w których dorośli i dzieci są zmuszani do pracy seksualnej, i innym podobnym nadużyciom. – Zawsze żywiłam szczególne zamiłowanie do prewencji – powiedziała mi. – To wspaniałe, jeśli możesz kogoś uwolnić od wyzysku, ale jeszcze lepiej, jeśli dana osoba nigdy nie znajdzie się w sytuacji, w której jest wyzyskiwana.

Mickelwait przez kilka lat zajmowała się promowaniem wśród rządów i widzów na całym świecie *Nefarious: Merchant of Souls* (Nikczemny. Handlarz dusz, 2011), wyprodukowanego przez Exodus Cry filmu dokumentalnego na temat handlu ludźmi, oraz działała na rzecz zaostrezenia kar dla skazanych za ten proceder. Coraz częściej koncentrowała się w swojej pracy na kobietach i dzieciach, często ofiarach handlu ludźmi, które zostały sfilmowane, a drastyczne filmy z ich udziałem trafiły następnie na pornograficzne witryny w rodzaju Pornhuba. MindGeek deklaruje, że zgodnie z zasadami firmy filmy wideo publikowane na ich stronie zostały zweryfikowane, czy nie ma na nich nieletnich i czy nagrano je za zgodą pojawiających się w nich osób. Jednak ostatecznie znaleziono w wiadomościach, oskarżeni o to, że niedostatecznie dokładnie kontrolują własne treści. Na Florydzie pewien trzydziestolatek został aresztowany za czyn lubieżny

i naruszenie nietykalności cielesnej piętnastolatki zaginionej niemal od roku. Jej rodzina znalazła prawie sześćdziesiąt filmów z udziałem dziewczynki na Pornhubie i na podobnych stronach (firma utrzymuje, że usunęła materiał w dniu, w którym została o nim powiadomiona). Wkrótce potem londyński „The Sunday Times” opublikował artykuł o korporacjach, które reklamują się na Pornhubie (między innymi Heinz i Unilever), podkreślając, że dziennikarze w kilka minut wykryli „dziesiątki przykładów nielegalnych materiałów” (firma odpowiedziała, że wideo zawierające sceny z wykorzystywaniem dzieci stanowią ułamek wszystkich treści i że dąży do ich wyeliminowania).

Pewnej nocy na początku 2020 roku synek Mickelwait zaczął płakać. Odkąd trzy miesiące wcześniej przeżył trudny poród, męczyły go kolki i kiedy płakał, przez długi czas nie dawał się uciszyć. – Był to zdecydowanie jeden z najtrudniejszych okresów w moim życiu. Myślałam, że umrę – opowiada Mickelwait. Próbując ukołysać dziecko do snu, postanowiła sprawdzić, jak to jest z weryfikacją deklarowaną przez MindGeek.

Wyjęła laptop, założyła fałszywe konto mejlowe i zamieściła na Pornhubie klip przedstawiający ciemne zakamarki jej własnej sypialni. Pojawił się niemal natychmiast. Nikt nie zweryfikował tego, kim jest, ile ma lat ani co zawiera film (MindGeek twierdzi, że do czasu przeprowadzenia weryfikacji film powinien być dostępny tylko dla umieszczającego go użytkownika). – Zaczęło mnie przesładować pytanie: Dlaczego zakładamy, że wszystkie te filmy są zgodne z prawem i zrobione za zgodą filmowanych osób? – opowiada Mickelwait. Następnego dnia napisała na Twitterze: „Mogłabym być dwunastoletnią ofiarą handlu ludźmi i nikt by się nie dowiedział. Pornhub umożliwia wyzysk”.

– Nie była to żadna nowość, miliony ludzi już o tym wiedziały – mówi Mickelwait. – Ale z jakiegoś powodu nikt nie łączył kropek, co to znaczy z punktu widzenia zawartości witryny. Uznałam, że inni powinni wiedzieć, że najpopularniejszy serwis pornograficzny na świecie jest zapełniony nagraniami z miejsc zbrodni. – Mickelwait napisała felieton, który rozeszła do dwunastu redakcji. Konserwatywny magazyn „Washington Examiner” zgodził się go opublikować. „Właśnie w tej

chwili na Pornhubie mogą się znajdować setki, jeśli nie tysiące filmów z nieletnimi ofiarami wykorzystywania seksualnego – napisała. – Nadszedł czas, by zamknąć Pornhub, tego seksualnego superdrapieżcę, i rozliczyć tych megalafonsów, którzy go prowadzą”.

— MINDGEEK została zarejestrowana w Luksemburgu – jednym z rajów podatkowych – ale główną siedzibę ma w Montrealu. Firma zatrudnia około 1600 osób, a należące do niej platformy internetowe, takie jak Pornhub, RedTube, YouPorn i Brazzers, notowały według rzecznika firmy około 4,5 miliarda odwiedzin miesięcznie w 2020 roku – niemal dwa razy tyle, co Google i Facebook razem wzięte. Właściciele i inwestorzy MindGeek starali się ukrywać swoją tożsamość,

*Początki Pornhuba sięgają 2007 roku, kiedy przedsiębiorca Matt Keezer wykrcił numer do właściciela domeny i kupił ją za około 3 tysiące dolarów. Razem ze Stephane'em Manosem i Ouissamem Youssefem założyli płatną stronę porno, Brazzers. Łącząc Brazzers i Pornhub w nową firmę, partnerzy nazwali ją Mansef, od połączenia słów „Manos” i „Youssef”.*

jednak kiedy Mickelwait zaczęła badać firmę, jak mi opowiada, były pracownik przekazał jej nazwiska kierownictwa: Feras Antoon, dyrektor generalny, David Tassillo, dyrektor do spraw operacyjnych, Corey Urman, wiceprezes bezpośrednio kierujący Pornhubem.

Początki Pornhuba sięgają 2007 roku, kiedy przedsiębiorca nazwiskiem Matt Keezer wykrcił numer do właściciela domeny, po czym kupił ją za około 3 tysiące dolarów. Keezer połączył siły z kilkoma partnerami, w tym Stephane'em Manosem i Ouissamem Youssefem, których poznał podczas studiów na Uniwersytecie Concordia w Montrealu przy okazji turniejów piłkarzyków. Założyli oni płatną stronę porno, Brazzers. Łącząc Brazzers i Pornhub w nową

firmę, partnerzy nazwali ją Mansef, od połączenia słów „Manos” i „Youssef”.

Mansef wkrótce po swoim powstaniu znalazł się na skraju katastrofy. W październiku 2009 roku agenci United States Secret Service Organized Fraud Task Force użyły nakaz zajęcia ponad 6 milionów dolarów z dwóch kont należących do powiązanej z Mansefem firmy Premium Services. Ta najwyraźniej nie miała żadnego adresu poza wynajętą skrzynką pocztową w Cumming w stanie Georgia, mieście liczącym 5 tysięcy mieszkańców. Za to w ciągu dwóch miesięcy otrzymała 9,4 miliona dolarów i dokonała przelewów na 4 miliony. Wyglądało na to, że pieniędzy nie przeznaczono na wypłatę wynagrodzeń ani na żadne inne uzasadnione wydatki. Rząd oskarżył Premium Services o zajmowanie się nielicencjonowanymi transferami pieniędzy. Mansef twierdził, że płatności pochodziły od zewnętrznych pośredników obsługujących karty kredytowe oraz że trafiały do amerykańskich dostawców firmy. W 2011 roku rząd poszedł na ugodę, otrzymawszy zwrot 4,15 miliona dolarów. Firma została uratowana. Co ważniejsze, cała ta sprawa sugerowała, że rząd nie nadąża za realiami nowego biznesu, jakim stawała się pornografia internetowa.

— W NASTĘPSTWIE rewolucji seksualnej lat 60. i 70. w kalifornijskiej Dolinie San Fernando – która stała się znana jako Porn Valley – zaczęły powstawać studia, w których produkowano filmy dla dorosłych dystrybuowane w USA. W 1988 roku, po części w reakcji na oburzenie opinii publicznej, jaki wywołał występ nieletniej Traci Lords w filmach porno, Kongres uchwalił sekcję 2257 Kodeksu Stanów Zjednoczonych, która narzuciła producentom wymóg udokumentowania, że aktorzy i aktorki mają ukończone osiemnaście lat.

Pojawienie się YouTube'a w 2005 roku ułatwiło umieszczanie w sieci filmów, które mógł oglądać każdy. Wkrótce przedsiębiorcy uruchomili tak zwane *tube sites* – takie jak RedTube i YouPorn – które pozwalały użytkownikom na umieszczanie i oglądanie pornograficznych wideo za darmo. Często były to pirackie kopie profesjonalnie kręconych tytułów, a zyski, które niegdyś płynęły